ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ 46
WARSZAWA
DNIA 16 LISTOPADA 1913 R.

Obrazki Warszawskie.

POWIŚLE.

Z burzliwego zgiełku Nowego Świata, z tej ulicy, nad którą unosi się jeszcze tchnienie lasów, okalających Warszawę, a już drży zdenerwowanie miasta, już tryumfuje rozgłośny smok metropolji — wązkie, w kapryśne zygzaki wygięte uliczki schodzą ku Wiśle — niby oślizgłe stopnie świątyni Molocha, mieszczącej ołtarz fałszywych cnót, tryumfujących śród płaczu strusich piór na kapeluszach kokot — gdzieś — koło „Udziałowej", lub jeszcze bliżej wielkomiejskiego serca — na Teatralnym placu w glorji barw.

Zaś równolegle z Nowym Światem, niżej nieco, biegną szeregi ulic i zaułków, złą sławą napiętnowane — świecące wielomówną nazwą — Powiśle.

I my, tchórzliwe dzieci śródmieścia, kołujące po linji kulturalnego szyku — gdy przyjdzie zstępować po oślizgłym bruku ponurej ulicy Tamki—uczuwamy groźne zamieranie serca, jak na przejmującym wietrze, gdy się nie jest dość ciepło ubranym.

Na Nowym Świecie słońce spływa złotym deszczem po szerokich chodnikach z betonu, a szyby wystaw sklepowych powtarzają jego blask daleko, hen, aż po ogrody miejskie w oślepiających odbiciach, takich samych, jakie dają modne dżety wytwornych sukien w świetle kinkietów. Pan w angielskiem palcie w tej dobrze wychowanej pieśni słońca, czuje się doskonale. Jest u siebie w domu. Ludzie, którzy go mijają, nie następują mu na nagniotki. Tak samo, jak, on cieszą się ze słońca, które zbytnio nie dopieka pod markizami sklepów, a jesienią błyszczy zimno, jak wyczyszczony hełm. Ci ludzie odwracają przecież oczy od czyhających ulic Powiśla, wciąż widocznych i obecnych.

Oni zazwyczaj nic nie chcą wiedzieć o Powiślu. Oni załatwiają swe interesy w „Café Empire", lub w wytwornej instytucji handlowej. Nie mają żadnych spraw z przedmieściem, które żyje własnem życiem, tak odmiennem, w którem łka rzeczywistość o straconem zdrowiu, bo miasto posłało jej swą zarazę, swój brud i zgniliznę, bo rury kanalizacyjne zatruwają wodę Wisły. Trucizną inną drogą, moralną bardziej wsączyła się również do duszy rybaka, zamieszkującego nędzną lepiankę, rozdwoiła duszę dziecku przyrody, w osobie flisaka pijącego absynt i jednocześnie znającego wszystkie mielizny, aż do miejsca, gdzie słodka woda wiślana nabiera smaku soli.

A tymczasem słońce chlusta również jasnością na małe domki Powiśla, sączy się w bruzdach ziemnych, w rozkopach pod przyszłe bulwary, ćmi w małych, brudnych szybkach, za któremi beznadziejnie umierają doniczki geranium i policzki dzieci są tak strasznie blade, aż — zielone.

Pod bokiem wielkiej Warszawy, żyje dziwne, jedyne może w swym rodzaju pobrzeże — Powiślem zwane. Pleni się na niem krzywda i nienawiść. Łka bólem niewolnika, deptanego ciężką stopą, śpi snem odrętwienia w oczach robotnika, ciężkim krokiem idącego na obiad; w niebieskich oczach dziewczynki, która chciałaby nosić takie same sukienki, jak pewne panienki, co piły czekoladę u Lardellego — a jednocześnie uczuwającej dziwną, niewysłowioną tęsknotę do tej niebieskiej obręczy lasów, hen, za Wisłą, uciekającej coraz dalej, rosnącej w wielkie, nieogarnione koło.

— Chodźmy na Powiśle! — zaproponował kolega z redakcji.

Idziemy wązkim chodnikiem, pełnym wybojów. A przed nami wstają dziwni ludzie o rzadko spotykanych twarzach, dzieci i ulicznicy, opisani przez Ignacego Dąbrowskiego, harde dusze, między któremi żył kiedyś Janusz Korczak, ów Homer Powiśla z przed lat dziesięciu, gdy jeszcze nie utraciło swej odrębności, gdy nie

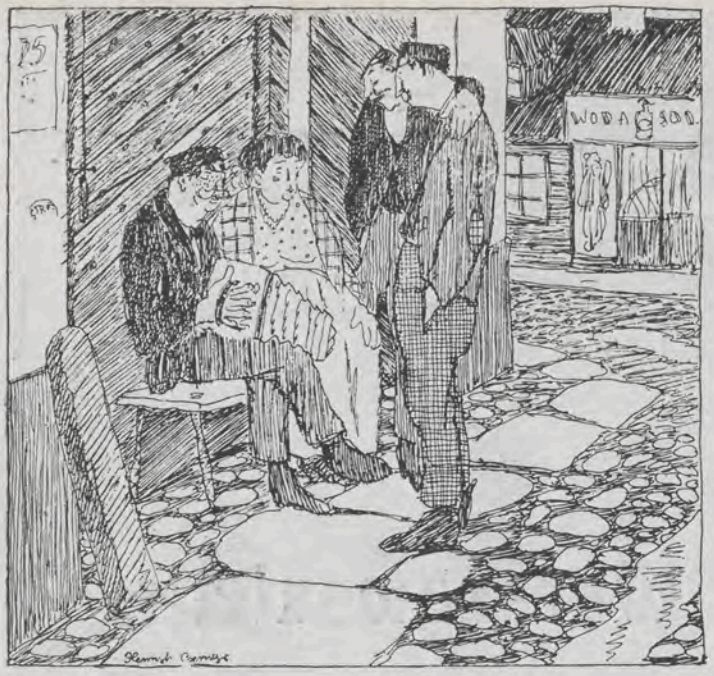

Henryk Czerny. Niedziela na Solcu.

rozpadało się jeszcze żyjące tam społeczeństwo — lud, spotykany tylko na Powiślu, tylko tu, a nie w innej stronie miasta.

* * *

Solec. Niedziela. Przed każdą bramą gromadka ubranych odświętnie mężczyzn i kobiet. Dziewczęta noszą przeważnie modne buciki. A młodzieńcy — w melonach. Stróż w nowej, błyszczącej czapce—tryumfuje. Trze ręczną harmonijkę o wargi, pod wilgotnemi wąsami. Gra. Tak cicho na tej ulicy. Niekiedy tylko zaturkocze dorożka i znowu wisi w powietrzu gwar rozmów, przytłumiona muzyka fujarek i słów, gramofonu wrzeszczącego z głębi otwartego okna i śmiechów.

Wszyscy się tu znają. Co chwila tryska fontanna wesołych docinków, żartów, czasem — ktoś zaklnie, ale niezbyt głośno.

— Te, Józiek! Gdzie idziesz?! — Panno Marjo! Cóż to się pani tak wystroiła?

Mówią do siebie ogromnie grzecznie i z dystynkcją, jakgdyby starali się naśladować sposób mówienia „inteligencji". Mali chłopcy wyciągają z kieszeni różnokolorowe programy kinematografów. Czytają streszczenia dramatów i karkołomnych fars. O „dramatach" odzywają się z pogardą. Wielbią jeno obrazy komiczne — w osobie Maksa Lindera, którego kochają za to, że jest taki sprytny i zawsze z najgorszych tarapatów— wychodzi cało — nie, jak ich ojcowie, zaplątani w sieć nędzy Powiśla.

Flirt — zupełnie już nowoczesny.

— Gotowa panna Andzia? Bo się jeszcze spóźnimy.

— Ooo! Pan taki gorący!

— A wie panna Andzia, na co kupiłem bilety.

Oczy wlepia w twarz ospowatego młodzieńca w białym krawacie. Dziwna rzecz! Ta dziewczyna ma takie same zmęczone, przyćmione oczy, jak pewna histeryczna panienka, moja znajoma, którą rodzice od roku włóczyli po premierach i kawiarniach.

— Na co?.. — pyta.

A on uśmiecha się cynicznie.

— Na „Targ na dziewczęta".

— Solec, mój drogi, to jest pryncypalna ulica Powiśla, — tłómaczy mi towarzysz.

* * *

Nad wieczorem idziemy brzegiem Wisły. Z jednej strony jest szary płot, zbity ze starych desek i nie wiadomo do czego, broniący wstępu. Trzech „antków" gra w karty. Wyciągnęli się na brzuchu. Mój towarzysz poczyna szkicować. Opodal człowiek w dziurawym kapeluszu, siedzi tuż nad wodą. Nogi zwiesił na dół i dłonią w zamyśleniu przygładza zmierzwioną brodę.

Podchodzę bliżej. Człowiek brodaty wyjmuje z postrzępionej kieszeni papierosa i wsadza go w zęby. Patrzy na fale wiodące łagodne i smutne igraszki i mruży oczy. Ciągnie ustami, niezapalonego papierosa.

— Te, draniu, kładź dychę!

Między grającymi powstaje kłótnia.

Człowiek w dziurawym kapeluszu odwraca głowę w ich stronę i spogląda z pogardą. Spostrzega mnie i nagle zrywa się na równe nogi.

Trzeba przyznać, że maniery miał trochę dziwaczne. Skłonił się, niczem dworzanin z Wersalu.

— Czy mogę być tak śmiały i prosić jaśnie pana o zapałeczkę?

Podaję mu zapaloną zapałkę, a on całą postać wygina w kabłąk, tylko usta z papierosem przybliżył do osłanianego przezemnie, płomyka.

— Mam zaszczyt podziękować.

Uśmiecha się. Twarz jego sprawia wrażenie gnijącego pomidora. Od nosa idą sine, głębogie bruzdy. I ten uśmiech smutny, bezradny.

Ogląda mnie z widoczną ciekawością. Nagle pyta:

— Czem zanimajetieś?

Ten włóczęga, podlegający ciągłym badaniom ze strony policji, najwidoczniej cierpi na jakąś manję.

Odpowiadam mu powoli, dobitnie i to go znowu wprowadza na drogę przytomnego rozróżniania rzeczy.

— Bardzo mnie to cieszy.

Coś mnie korci:

— A pan czem się zajmuje? — pytam.

Henryk Czerny. Nad Wisłą.

— Ja? To jest... zależy kiedy? O jaką porę się pan pyta?

— Cóż pan naprzykład robi latem?

— Latem? Kąpię się. Bardzo przyjemnie jest się kąpać.

— A z czego pan żyje?

Znów uśmiecha się bezradnie. Jeszcze nigdy nie widziałem człowieka, któryby się tak rozpaczliwie smutno uśmiechał.

— Czy mieszka pan w samej Warszawie?

Ale człowiek w dziurawym kapeluszu poczyna się wstydzić.

— Widzi pan... z przeproszeniem jaśnie pana, ale mnie się Warszawa nie podoba. Ot, tak, wprost, — nie podoba. Aleje Ujazdowskie... owszem, tylko policja nie pozwola spać na ławkach. Zresztą — nie cierpię... Psiakrew...

Nagle odwraca się w stronę miasta. W oczach zapalają mu się wściekłe błyski.

— Tam... w mieście trudno człowiekowi żyć. Nia dadzą, psiawiary.

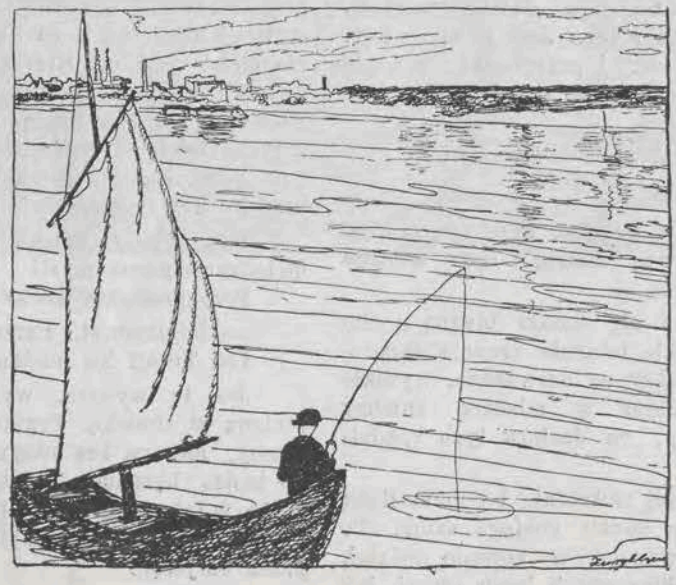

Rys. Henryk Czerny.

Henryk Czerny. „Wieczorek" na Solcu.

Znów powraca na swe dawne miejsce. Siedzi i cyka śliną na wodę. Jest zmarnowany, zmiętoszony przez życie. I przychodzi mi nagle dziwaczna myśl, że człowieka tego wypluło miasto — tu — na Powiśle.

* * *

Jesteśmy teraz w pustym, głuchym zaułku. Wracamy już w stronę miasta i tędy właśnie obraliśmy drogę.

Małe, zapadające się domki biegną z obu stron w górę. Rzadkie latarnie rzucają złowrogie, zielonkawe refleksy na dziwaczne, wysokie dachy. Księżyc otulony w mleczne chmury sypie szron poświaty, na dachów tych spadzistość.

Nasze kroki huczą stokrotnie i echem tłuką się o bruk. Tylko z oddali dobiega szum. To Warszawa, gdzieś wysoko w koronie świateł, w płaszczu łuny elektrycznych lamp szumi, jak morze.

Uczuwamy dziwną samotność na tej zapomnianej uliczce. Poza nami widać czarne, długie cielsko. Most Kierbedzia rozkraczył się na dwuch brzegach Wisły. W tych małych domkach śpią znużeni pracą, ludzie. Może za jednem z tych ciemnych okien stoi trumienka, a w niej trup dziecka, niepotrzebnego dziecka, które umarło z wycieńczenia?

Tak. Pusty zaułek posyła sentymentalne, melodramatyczne myśli.

Przyspieszamy kroku.

— Pójdziemy!.. Panowie!

Co? Tutaj! Na pustkowiu?

Jest to wysoka, wymalowana dziewczyna, otulona w chustkę. Przytuliła się do drewnianej ściany, aby na bezludnym rynku, doprowadzić do końca beznadziejny handel ciała. A potym może w taką samą noc, postać jej zamajaczy na kadłubie mostu i przechyli się, zbyt się przechyli przez barjerę...

* * *

Wspinamy się coraz wyżej.

Fabryki. Kominy wysokie, wysokie bez końca.

Jutro skoro świt przeraźliwy gwizdek fabryczny rozedrze ciszę ponocną. Zaroją się puste ulice. I nasz zaułek nie będzie już taki samotny. Ludzie poczną się wspinać po olbrzymich rusztowaniach. Powiśle się zabudowywuje. Powstają wielkie kamienice, gmach Szkoły Sztuk Pięknych.

Teraz jest ono jeszcze spluwaczką Warszawy. Bo Warszawa wywozi nań swe śmiecie i wypluwa niepotrzebnych ludzi.

Ale z czasem podniesie je do swej godności. Dziewczęta z Solca, nie będą już potrzebowały tęsknić do śródmieścia. Nad Powiślem zapłoną łukowe światła i może nawet wybudują tam jaki wielki kinematograf. I wtedy przestanie ono już być Powiślem i stanie się wielkiem miastem, głupiem, pysznem miastem, którego symbol na karykaturze Gulbransona, ziewa, ukazując wstrętne, złotem plombowane zęby.

Jakób Appenszlak.

Henryk Czerny. **W zaułku.**

TEATR

Rys. Henryk Czerny.

STUDJUM SATYRYCZNO-EWOLUCYJNE.

„Alles Vergängliche ist
nur ein Gleichniss".
(Goethe. Faust)

I.

Hellen — (okpisz) — hedonista pono,
tragiedyją pogłębiał swe łono.
Amfiteatr wielbił niesłychanie
i koturny. Właził bo też na nie..!

Katolicki, czy inny chrześcijanin
niechciał sztuki, jaką znał poganin.
Ajschylosa nie pożądał chryj. Nie!
Wid — ów — iskał pasywnie pasyjnie.

Potym kupiec, (a względnie — piwowar).
Konwencyjnie w kiju widział browar.
Na tle płachty grała kiepska szmira,
to się zwało „teatrem Szekspira".

Jeszcze potym, w różanym obłoku,
wszelakiego nastał czas Rokoku:
Markizetki, vulgo Marjonetki,
wiodły żywot barwny, krótki, letki.

Poczym długo nie dawano znaku,
aż nadeszło królestwo tombaku:
Zaś — klasyczny bukolizm w teatrze
Trwał do czasu, w którym Ja się patrzę.

II.

Z nieskończenie chwalebnym wysiłkiem
teatr pokradł — co się dało — chyłkiem.
Lepił kiepskie drzewa z papjemasze,
z szychu — trony, z tektury — pałasze.

Byliby też teatr djabli wzięli,
gdyby pysznych aktorów nie mieli.
W czasie owym człek się rozaniela,
roztragicznia, quasi roz-Rachel'a.

Ale przyszła essay'izmów era
z krzykiem: Wody! Soli! Bohatera!
Jeden z drugim trząsł się teatralnie,
kapitalnie — (Może: dyluwjalnie?)

Jeden z drugim szukał nowej racji
w inspiracji lubej stylizacji.
Śmierć — pierotem. Los — ślepcem. Mus —
[Jogiem.
Aktor dwunóg bywał czworonogiem.
Tu już mamy „prądy" conajnowsze,
co dotarły nawet... na Mazowsze.

III.

Stylizacji hasło nie przebrzmiało,
gdy i tego im było za mało,
Biedną sztukę w twarde kleszcze wzięto,
scenę jęło pojmować... pociętą.

Ku uczczeniu człowieka pamięci,
ustalono tę, co to się kręci.
Lecz się rychło znów poczęto smęcić,
bo się można do kręćka dokręcić.

Więc myślano, żeby było ładnie,
Skonstruować na scenie zapadnie.
Srogie gaudjum mieć będą twe oczy.
(ówdzie — wskoczy, a ówdzie — wyskoczy).

Teraz jednak człek prosty redaktor,
(może prezes?..) zapyta: a aktor?!

— Hola, hola! I aktor coś znaczy.
Niech się zgrywa. Nie można inaczej!
Że zaś zmalał ostatnio, jak faktor,
trza, by wyrósł na nowo nasz aktor.

Musi głos mieć donośny i górny...
— Zmalał? Nic to: podajcie koturny.
Rozwiążemy problemat teatru
półokrąglem... hm... amfiteatru.

— — — — — — — — — — — — — —

Hellen — (okpisz) — — —
zabrakło mi wątku...
— Resztę możesz czytać od początku.

Zdzisław Kleszczyński.

„CALIBAN" RENANA.

Nie wszystkim może wiadomo, iż znakomity myśliciel francuski *Ernest Renan*, powszechnie znany jest jako autor „Żywota Chrystusa", które to dzieło wielbiciel Renana, *Jerzy Brandes*, nazywa „najsłabszem" z pośród wszystsich pism jego — próbował także swych sił na polu dramatycznem, a nawiązując do *Shakespeare'a* napisał dokończenie „Burzy", „suite de la tempéte" p. t. „*Caliban*".

Nie jest to jednak w istocie żadne dokończenie" szekspirowskiej „Burzy", owej dworskiej fraszki scenicznej, niewiadomo dlaczego tak przecenianej i przefilozofowanej. Prócz nawiązania akcji dramatu Renana do kilku postaci „Burzy" jest to rzecz zasadniczo inna.

I choć nieprawdą jest, co pisze Brandes, że „postacie Renana są cieniem wobec szekspirowskich" — prawdą natomiast jest, że właśnie „idee Shakespeare'a są naiwne wobec Renana".

„Caliban" to „dramat filozoficzny". Jak „Burza" prócz epilogowych wynurzeń samego twórcy u swego schyłku jest niewinną, lecz frywolną tylko fraszką, czy też baśnią, „Caliban" jest kapitalną polityczno-społeczną satyrą głębokiego myśliciela w nitczeańskim duchu odwratacza wszechwartości.

Kaliban, brutalny opój, mąż dziki potwornej postaci, oczekując upragnionej wolności, sieje bunt przeciwko swemu władcy i mistrzowi, nieszczęśliwemu Prosperowi, który, choć przywrócony na tron Medjolanu, zagłębiony w swych spekulacjach—traci powtórnie berło rządów.

Kalibana wynosi na tron przypadek. Karjera pustego demagoga. Dużo krzyczy, schlebia tłumowi, urąga porządkowi społecznemu, nazywa Prospera „uzurpatorem", bo mu zagarnął jego wyspę szczęśliwości gdzie było dobrze, dopóki nie było kultury i — panów.

Platon, Tomasz Morus, Campanella—to twórcy idei owego „złotego wieku", którą wyszydza *Montaigne* w pierwszej księdze pism p. t. „*Les cannibales*"; „Jest to naród, gdzie niema żadnego handlu, ani wiadomości o naukach, ani pojęcia rachuby, ani urzędu, ani polityki, służebnictwa, bogactwa i ubóstwa; ani kontraktów, sukcesji i ograniczeń, ale każdy trwa w bezczynności. Nikt niema dzieci, bo te wspólne, niema ubiorów, nie używa wina, zboża i metalu; nie słyszał nigdy o kłamstwie, zdradzie, udaniu, chciwości, zazdrości, potwarzy i przepraszaniu". W imię owych fikcji Kaliban urąga kulturze, zresztą powiada, że rewolucja jest najświętszym obowiązkiem". W nic też nie wierzy, bo cywilizacja oszukuje tylko. *Sétébos*, o którym czytamy w podróży *Magellana*, a który wedle angielskich komentatorów jest najwyższym bogiem Patagończyków — jest lepszy wedle Kalibana, aniżeli Bóg chrześcijański. Świat bez monarchów – a niebo bez bogów!—oto ideał tego rewolucjonisty.

Wogóle świat jest zły! Kaliban jest pesymistą, sceptykiem. Wszystko nic nie jest warte! Nawet — śmierć! Każda religja uważa się za wybraną, patrjotyzm zaś u wrogów— nam się wydaje... przesądem! Lecz—*przesąd jest podstawą życia!* „Préjugé, vanité, voilà la base de la vie. La philosophie, qui détruit les préjugés, detruit la base de la vie". Trzeba umieć tylko w siebie coś wmówić. Artyści i ci, co używają rozkoszy życia, mają jedynie rację. Nawet z posiadania wolności nic nie mamy. Ariel niema co z nią począć.

Wogóle Kaliban — to symbol ochlokracji, tłuszczy.

Lecz i szlachta nie lepsza. Jest bierna. Zawiera kompromisy. Nawet kto wie: może próżność jest cnotą?

Kaliban potrafi taksamo rządzić, jak czysty, piękny, duch — Prospero.

Może nawet jako panujący jest „lepszy". Urąga papiestwu. Uczonych nie chce — ten dziki potwór w złocistej koronie, poddać inkwizycji!

A bas l'inquisition!

Tłuszcza wyje z radości: „*Ma foi, vive Caliban*"!

A historja zapisze złotemi głoskami po wieczyste czasy: „*Caliban, a encore une qualité de plus: il est anticlerical!*"

Demokracja, w istocie rzeczy głupia i płytka, a także również względna i przejściowa — góruje jednak nad klerykalną monarchią liberalnością ducha.

Czemże więc jest ten cały, ciemny i potworny, a jednak równie dobry, jak inni

władcy — „Caliban“, to dzieło pesymizmu i rewolucyjnego nihilizmu Renana.

W dramacie szlachcic *Gonzalo* powiada: „Caliban, c'est le peuple. Tout civilisation est d'origine aristocratique.

Civilisé par les nobles, le peuple se tourne d'ordinaire contra eux. Quand on regard de trop près le détail du progrès de la nature, on risique de voir de vilaines choses“. Czyżby istotnie cały świat miał być tylko „wieczną iluzją, komedją złożoną z aktów bez finału“!

W zgrzycie i krzyku, ironii i śmiechu filozoficznego dramatu Renana tkwi jednak jego zasadnicza *idea pańskości kultury*, co prawda, również gestem szyderczej ironji na zewnątrz wyrzucona.

Oto demagog... arystokratyzuje się! Dziki demokrata, Kaliban, nabiera gustów „pana“, stwarza napowrót dystans między sobą a tłumem... poczyna wierzyć w swą misję— *pomazańca!*

Dzikus w koronie, leżąc w królewskim łożu strąconego Prospera, poczyna odczuwać... sympatję ku posiadaczom. Myśl igra erotycznie... Przecudna Kurtyzana Imperia... hm!.. Żeby się tylko spodobać..! Ależ... tak, tak!.. Kalibanie! Nie Prospero... ale Ty — Tyś wybraniec!

I oto na gruzach tradycji, w pożodze rewolucyjnej zarysowuje się — „etyka pana“.

Prawdziwym demokratą być na dystans nie można. Kto chce rządzić—czy szlachcic, czy niewolnik, musi się wyodrębnić, zizolować—musi być panem!

Czyż potworny Kaliban, którym była wielka rewolucja — nie wydała właśnie nowego tyrana, — Napoleona!

Oby to kiedy „Caliban“ Renana, dramat głęboki i ogromnie ciekawy w szczegółach i niuansach — mógł ożyć na deskach teatralnych!

Dr. Wiktor Strusiński.

ECHA Z ZAPADŁEGO KĄTA.

Wracam proszę państwa z przeproszeniem... z rypińskiego i sama ta nazwa wywołuje już uśmiech na ustach czytelnika, przyzwyczajonego łączyć Rypin wsławiony na ramach „Świątecznego“ razem z Kiernozią i Pacanowem, gdzie kozy kują z pojęciem komizmu i karytatury.

Nie tak to jednak „illo tempore“ bywało, dopókąd nieboszczyk Pląskowski, niegdyś ziemianin rypiński a później współredaktor „Kurjera Świątecznego,“ nie uśmiertelnił na łamach tego pisma nazwiska stolicy swego powiatu, jako synonimu małomiasteczkowego zacofania i kołtuństwa.

Bo przecież dawne rypińskie, to była okolica wielkiego właśnie obszarnictwa, w której potentaci ziemiańscy po kilkanaście folwarków i po kilka gorzelni miewali, jednowioskową szlachtę lekce sobie ważyli za pan brat z nią się nie zadając. Nawet przyjeżdżając do Rypina, nie stawano w jednym zajeździe z szarakami, lecz arystokracja stawała u Jajkesa, a demokracja u Kałmy, a stąd i wynikł podział na „jajkesów i kałmistów, długie czasy niepozwalający na wszelkie towarzyskie stosunki i familijne koligacje. Niestety, zmienne koleje losu nie pozwoliły na wieczyste istnienie tego muru chińskiego, z czasem kiedy nieopatrzność i zła gospodarka nadwerężyły stan majątkowy „jajkesów“, zaczęli i oni spuszczać z tonu.

Nic też dziwnego, że wielkie fortuny topniały jak śnieg majowy, gdy na nich szła tego rodzaju gospodarka, że np. gdy zabrakło owsa na wiosnę, to wcale go już nie siano przez lat parę, albo gdy np. jeden z karmazynów tamtejszych zapytany, dlaczego tylko trzydzieści korcy na zimę zasiał, odpowiedział, śmiejąc się jowialnie:

— Mój bracie! a toć gdybym i tak zjadł wszystko to, co się z tych trzydziestu korcy urodzi — to bym chyba pękł!!!

Naturalnie nie pękł — pękały za to fortuny jedna za drugą, a zwłaszcza po roku 63—to już prawdziwy nastąpił exodus dawnych tutejszych radców i „homines novi“ miejsce ich przeważnie zajęli, a z postępem obdłużenia i zmniejszeniem się dochodu, zmniejszyły się też i rodowo-koligacyjne przesądy.

Kiedy więc jeden z najzamożniejszych wówczas dziedziców wydawał córkę za syna ekskarczmarza, a sąsiad czynił mu z tego powodu objekcje, odrzekł panek ów prosto z mostu:

— A cóż to za wielka różnica, panie dzieju. Ja sprzedawałem okowitę na okseftę a on na półkwaterki i tyle.

Różne więc przybłędy, niemieckie fałdy i chłopskie żebra, zasiadły po kościołach dawne senatorskie kolatorskie ławki, pamiątka po dawnych dziedzicach pozostała jeno na cmentarnych pomnikach, a wielkopańskie klucze rozpadły się na drobne chabendy—i dzisiaj tylko *„rari nantes“* pozostali na ojców zagonie.

Kiedy więc była w zeszłym roku w tej okolicy wystawa rolnicza a na niej hippiczne popisy, ściągające całą gromadę okoliczną, która tam zaglądała ciekawie przez parkany, rzekł do mnie Włodzio, potomek niegdyś tutaj obsiadłego rodu i również emigrant z tej okolicy:

— Wiesz kochanie, że kiedy sto lat temu odbywał się ostatni sejmik tutejszy, szlachta butnie i poszóstnie zajeżdżała przed farę, gdzie po wyniesieniu cymborjum miały się odbywać narady, to właśnie przodkowie tych oto, co obecnie paradują w ukwieconych ekwipażach na arenie — tłoczyli się na rynku, podziwiając pańskie kalwakaty. Dzisiaj zaś potomkowie tych kontuszowych brzuchaczy zaglądają szparami w parkanie, gapiąc się na przejeżdżających wuuków ówczesnej hołoty!!!

Ha! „tempora mutantur“, wszystko też z nimi się zmienia — czy na lepsze? — zapewne.

Przecież wedle demokratycznego postulatu, ziemia winna należeć do tych, co ją uprawiają. Cóż kiedy znów na miejsce tych często poczciwych, choć zacofanych niodołęgów, którzy wypuścili z ręki ojczysty zagon, osiedli tutaj gęstą ławą przybysze niemieccy, zakupując wielkie dobra i mniejsze kolonje, a nawet jako służba dworska godząc się na zarobek.

Wpływ germanizmu, oddawna zagrażający tutejszym kresom, wzmógł się też znacznie przez częste stosunki z Prusami, gdyż cała zdatna do pracy ludność włościańska stale emigruje tam na letnie zarobki. Strój więc miejscowy chłopski dawno już został zapomniany, na jego miejscu melonik i pruska tandeta zachwyca każdego parobczaka, a tombakowy zegarek udaje złoto w kamizelce. Mowa nawet posiada też różne naleciałości niemieckie jak: fogelns te fyrtel — frajer, Stelwognitd. Zastraszające też tutejsze postępy niemczyzny, podniesione w prasie polskiej wywołały już akcję ratunkową, w postaci spółki ziemiańskiej, która kupuje zagrożone przez niemców majątki, lub bierze w administrację gorzej prowadzone, ażeby ustalić ich normalny stan. Duchowieństwo polskie ze swej strony oddziaływa też zbawiennie na włościan, powstrzymując sprzedawczykowstwo ziemi w obce ręce. Obecnie już fala germanizmu prawie że powstrzymała swój zakus, lecz jednak całej potrzeba wytężonej jeszcze uwagi i przezorności, aby nie wdarła się ona głębiej na tę upatrzoną przez siebie placówkę. Koloniści bowiem niemieccy natarczywie stawiają swe oferty na każdy idący na sprzedaż folwark, otrzymując z faterlandu pieniądze na 2 — 3% za pośrednictwem miejscowych pastorów.

Agricola.

TYDZIEŃ MUZYCZNY.

Teatr Wielki. W przeciwieństwie do dramatów muzycznych Wagnera, opiewających najświętsze ideały i uczucia duszy ludzkiej i mających za bohaterów jaknajwznioślejszych przedstawicieli człowieczeństwa, we Włoszech powstał t. zw. kierunek werystyczny, który stara się, przedstawić na scenie „nagiego“ człowieka, wyzbytego z wszelkiej konwencji, z wszystkiemi jego popędami i namiętnościami. Nowy ten styl operowy odpowiada powstałemu w tym samym czasie dramatowi naturalistycznemu; lecz głównej cechy naturalizmu, staranności w sumiennem odtwarzaniu wszystkich jaknajdrobniejszych szczegółów i szczególików z życia codziennego, cechy nadającej dramatowi naturalistycznemu warość prawdziwą, opera „werystyczna“ nie posiada, choćby już dlatego, że muzyka, ta najwięcej abstrakcyjna z sztuk, nie może wyrazić tych rzeczy, jakie słowem określić jest łatwo. Dlatego też „prawda“ w tych operach objawia się jedynie w najgrubszych konturach, cały styl zaś przez to jest niejednolity i poniekąd nielogiczny. Można nie zgodzić się z samą ideą kompozytorów „werystycznych“, lecz trzeba przyznać, że dzieła ich pisane są z dużym natchniem, wielką inwencją melodyjną i harmonijną oraz z całą świadomością pięknych efektów orkiestralnych. Za najwybitniejszych przedstawicieli „weryzmu“ uważa się Mascagniego, Leoncavalla i Pucciniego, których opery zyskały sobie wielki rozgłos i i popularność.

Wznowione u nas w ubiegłym

tygodniu opery „Rycerskość“ Mascagniego i „Pajaców“ Leoncavalla, maestro Cimini prowadził z wielkim temperamentem i rutyną. Caina w „Pajacach“ śpiewał p. Dygas. Głos jego brzmiał przepięknie a gra sceniczna była szczera i przekonywająca, jedynie końcowa scena pierwszego aktu była nieco przegrana. P. Prawdzic-Turridu w „Rycerskości“—posiada wprawdzie miły i wyszkolony głos, lecz brak mu zupełnie temperamentu. Bohaterki obydwuch oper, Neddę i Santuzzę grała p. Ogrodzka. Artystka wywiązała się zadawalająco, pomimo że w jej grze i śpiewie dość często odczuwało się brak zrównoważenia. Doskonały jako Tanio był p. Metaxian, szczególnie za odśpiewanie prologu słuszne należało mu się brawo.

Filharmonja. Recital prof. Henryka Melcera zaimponował przedewszystkiem swoim kolosalnym programem. Wybitny pianista grał Chopina: cztery ballady, polonez fis-mol, impromptu, nokturn i wszystkie (27) etiudy. Gra p. Melcera odznacza się wykończeniem technicznem i wielką starannością; uderzało nas tylko od czasu do czasu zbyt ostre wypointowanie niektórych ulotnych temacików, szczególniej w lewej ręce. Z wielką maestrją odegrał koncertant czwartą balladę, etiudy: e-dur, cis-mol (tercjową) c-mol (revolutionaire), f-dur i pełną przenikającej grozy ostatnią (e-mol). Naogół grze p. Melcera brak może wielkiej poezji, lecz zastępuje ją w zupełności niesłychana inteligencja i niebywała wprost kultura artystyczna.

Na piątkowym koncercie poświęconym twórczości Czajkowskiego zaprodukowały się dwie solistki, pani Tina Lerner pianistka i p. Weigl-Pazeller śpiewaczka. O p. Lerner można powiedzieć, że grała bardzo poprawnie pod każdym względem, lecz bez dużego odczucia i zrozumienia. Co zaś do p. Weigl-Pazeller, to śpiew jej nie może podlegać żadnej krytyce. Z całego koncertu godnem uznania było jedynie wykonanie utworów orkiestralnych Czajkowskiego pod świetną dyrekcją pana Birnbauma.

Bolesław Przybyszewsk

TEATR „ARTYSTYCZNY“.

Zawiązało się konsorcjum, mające na celu popieranie teatru, któryby godnie spełnił swe kulturalne zadanie, grywając w większych i mniejszych miastach Królestwa Polskiego, Litwy, Podola, Wołynia i Rosji. Teatr ma być prowadzony wzorowo, przy udziale pierwszorzędnych sił. Repertuar — przeważnie swojski. Dekoracje, kostjumy i rekwizyty—własne. Artyści już przystąpili już do prób, zamierzają grać bez suflera. Przedstawienia o wybitniejszej wartości literackiej, poprzedzane będą prelekcjami znanych literatów. Projektowane są rownież występy gościnne wybitnych sił artystycznych.

Personel nowego teatru, który nosić będzie miano „Artystycznego“, składają: pp. Leśniewska, Sokolicz, Śniatyńska, Maliszewska, Brudzińska, Radewiczówna. Wisłocka i pp. Leśniewski, Szarkowski, Chaberski, Bielicz, Gusynowicz, Bachliński, Pilarski, Jaśkowski, Radewicz i inni.

Kierunek literacki objął wybitny krytyk i nowelista p. Leon Choromański, reżyserję prowadzić będzie p. Józef Leśniewski. Drugi reżyser p. E. Chaberski, administrator—p. Ludwik Bachliński.

KINO

P. Marceli Sachs, znany powieściopisarz, skazany został na dwa tygodnie więzienia, za swą ostatnią powieść p.t. „Kobieta", którą prokuratorja uznała za niemoralną.

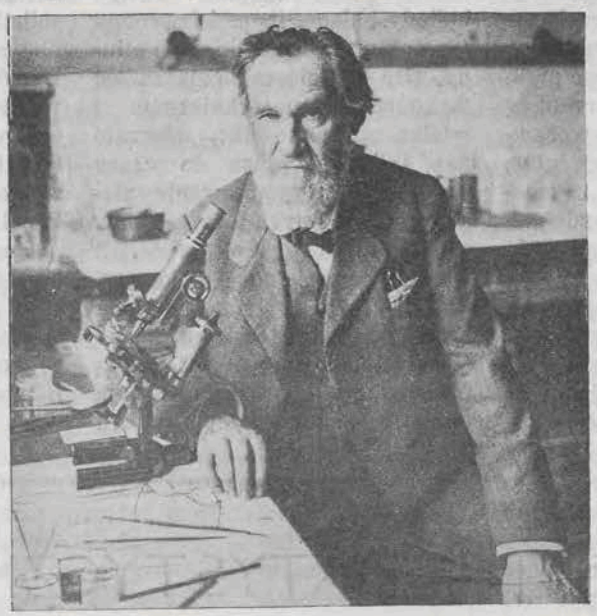

STULECIE INSTYTUTU PASTEUR'A. Prof. Miecznikow dyrektor instytutu, słynny bakterjolog.

Sio Loyd George, sekretarz stanu Wielkiej Brytanji, który wywarł olbrzymi wpływ na sprawy bałkańskie.

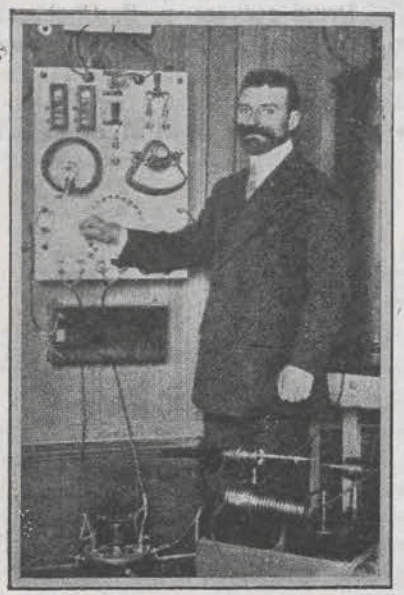

Prof. Ulivi, wynalazca promieni „F".

Załoga Zeppelina na parę godzin przed katastrofą.

Policjanci lipscy po polowaniu na lwy, które uciekły z cyrku.

Femina

JEDNA Z NIEWIELU.

(Dokończenie).

Po wielu latach smutku i żałoby, sławna piękność, „sawantka“, dostojna dama dworu, przyjaciółka królewny — przyjęła na siebie rolę siostry miłosierdzia, zaślubiając starego, chorego, rannego kalekę, towarzysza broni z pod Moskwy księcia Józefa, majora Ł.

Była bezdomnemu rozbitkowi opiekunką troskliwą — mieli oboje jeden kult wspólny: miłość dla bohatera.

Rewolucja listopadowa zastała majorową starzejącą się już kobietą, lecz zawsze czynną, gotową do ofiar i pracy.

Rodzina Czartoryskich wyjechała do Paryża; opiekę nad szkołami żeńskiemi w klasztorach województwa lubelskiego, których wizytatorką była księżna Adamowa, oddała pani majorowej Ł.

Opowiadania o prababce, były więc dla dzieci moich jedną z kart historji nie tylko rodzinnej, ale i dziejów ojczystych; tę kartę żywą jeszcze, nie pisaną, mogłam dzieciom mym ukazać.

* * *

W mieście K. na odległem przedmieściu, wśród starych drzew i rozległego ogrodu, stał stary dwór drewniany parterowy, w którym dożywała dziewięćdziesięcioletnia matrona w ciszy i spokoju. Z sieni obszernej wchodziło się do stołowego dużego pokoju, z niego do narożnego, mającego okna w dwuch ścianach, w którym mieszkała babunia. Gdy wprowadzałam dzieci, staruszka siedziała w wysokim fotelu z podnóżkiem; nie chodziła już o sile własnej, na jedno oko była ciemną, pled okrywał nogi, czarne koronki — białe włosy.

Gdy zbliżyliśmy się do ucałowania ręki jej (wiedziała o przyjeździe moim), podniosła schyloną głowę, uśmiechnęła się i gestem jakimś, niepochwytnym, nie ujętym w słowa, powitała nas.

A był to gest taki jakiś królewsko dostojny a taki dobrotliwie serdeczny, że dziś po latach tylu, tkwi mi on w pamięci niezatarty i żywy, a dzieciom moim był pierwszem i jedynem już objawieniem czegoś niedościgłego dzisiaj, promieniującego dostojnością a zarazem wielką dobrocią.

Zanim babunia przemówiła do nas, byliśmy już szczęśliwi i jakby dumni, ukorzeni przed nią, a śmiali, czczący w niej majestat a ufni bez granic w jej dobroć.

Obok klęcznika z krzyżem i cierniową koroną na nim, wisiał olejny portret księcia Józefa. Na nim zetknęły się spojrzenia nasze; one powiedziały tej dostojnej kobiecie, że w czci jej dla niego zlewają się uczucia nasze.

Milczeliśmy — tą uroczystą, tyle mówiącą, ciszą.

Milczałam. Wiedziała, że znam jej kryształowe, słoneczne, a zarazem chmurne życie, wiedziała, że nauczyłam swe dzieci czci dla bohatera „bez zmazy“ — odgadła, że przyjechałam do niej z synem i córką, by ich pobłogosławiła i by na życie wzięli w serca świętą pamięć przeszłości.

Podziękowała mi za to.

Weszły do pokoju dwie stare panny rezydentki, krewne nieboszczyka pana majora, pytając, czy pani przyjmie księdza proboszcza, który nadszedł właśnie — babunia przytwierdziła skinieniem głowy.

Ksiądz pochylił się przed babunią w nizkim ukłonie, ona gestem wskazała mu blizko stojące krzesło. Znów ten gest dostojny, zdumiewający nas, niemy, a tyle wyrażający godności i dobroci, były w nim, jeśli można się tak wyrazić, jakieś echa odległe przeszłości—tragicznej, wielkiej, a w miłości Chrystusa stopionej.

Nastąpiła ogólna rozmowa — znów zdziwienie dzieci moich: prababcia zaczęła księdza wypytywać o nowiny, bo jeszcze jej dzisiejszych gazet nie czytano, — więc „co słychać“ — mówiła, zbliżała się wtedy wyprawa Rosji na Bał-

kany. Babunia zajmowała się, jak spostrzegliśmy, żywo polityką — kombinowała przyszłość Europy.

Dzieci, ksiądz i rezydentki wyszli do stołowego pokoju, mnie babunia zatrzymała, wypytując się o szczegóły choroby i śmierci „kochanej Lucynki", matki mojej, a chrzestnej córki babuni, bardzo przez nią kochanej.

Byłam z babunią sama; serce mi biło gorącem pragnieniem ujrzenia listów księcia Józefa, o których wiedziałam, że spoczywają w zamkniętej szufladzie klęcznika, razem z listami innemi i pamiątkami młodości babuni. Pragnęłam, a nie śmiałam prosić o to. Czy racjonalną była ta wstrzemięźliwość — nie wiem — może zbyteczną, to wiem tylko, że wkrótce żałowałam mego postępku.

W roku następnym prababka życie zakończyła.

Rodzina pana majora Ł. wszystkie pamiątki po zmarłej zabrała, a więc liczne portrety rodzinne zawieszone w „bawialnym" pokoju.

* * *

Stuletnia rocznica śmierci księcia Józefa wywołała w pamięci mojej te wspomnienia. Drogie one są dla nas, a może nie będą obojętne i dla ogółu polskiego, tem, że gorące serce zacnej, szlachetnej Polki poiło uczuciami swemi przyszłą polską królowę.

Jakże inaczej zrządziły losy...

Ew. B.

Z RUCHU KOBIECEGO.

Zjazd „Ligi wyborczych praw kobiet" w Budapeszcie.

Uroczyste otwarcie zjazdu „Ligi" odbyło się w Budapeszcie 15 czerwca r. b., w sali Akademji Muzycznej. Po zagajeniu Zjazdu przez przewodniczącą Ligi, mrs. Chapman-Caft, nastąpiły mowy powitalne: hr. Teleki i Vilmy Glucklich przewodniczących węgierskiego Związku wyborczych praw kobiet, ministra oświaty Jankovica w imieniu rządu, prezydenta Bârczy, w imieniu miasta Budapesztu.

Następnie w wspaniałej przemowie p. Chapman-Catt zobrazowała świetny rozwój i postęp dokonany we wszystkich pięciu częściach świata przez ruch o prawa wyboru kobiet. Dwadzieścia pięć państw i dwa narody pozbawione niezależności liczy Liga wśród swoich członków. Rzadki to rezultat na pracę 9-cioletnią zaledwie. Największe zwycięstwo osiągnięto dotąd w Stanach Zjednoczonych, gdzie już kilkanaście Stanów przyznało kobietom równość. Radosną była wieść świeżo nadeszła o osiągnięciu prawa powszechnego głosowania w Norwegji.

Zjazd w Budapeszcie zgromadził imponującą liczbę 2,800 uczestniczek i uczestników. Oficjalnemi delegowanemi od rządów były: z Australji p. Fryderyka Spencer, z Waszyngtonu i Oregonu pp. Reberta Norris i Klasa Colby, z Kaliforji miss Willis, miss Younger i miss Smith, z Islandji mrs. Amosdon z córką, z Norwegji pp. Gina Krog i Qum. Wśród uczestniczek Zjazdu 60 kobiet posiadało już równe prawa polityczne, jako obywatelki Norwegji, Findlandji, Australji i niektórych Stanów Ameryki. Były radczynie miejskie i prezydentka m. Olpham w Anglji, mrs. Lee. Wszystkie zawody miały swoje przedstawicielki: adwokatki, rejentki, pastorki, dziennikarki, literatki, artystki, różne rękodzielniczki i wyrobnice, które kroczyły na czele pochodu. Między tysiącem telegramów powitalnych, odczytano telegram od „*Związku równouprawnienia kobiet polskich*". Z entuzjazmem słuchano treści depeszy uczonego duńskiego, Fryderyka Bayera, Członka Izby Panów, odznaczonego nagrodą Nobla: „Nie rozumiem — pisał, — jak mężczyzna przy zdrowych zmysłach może być przeciwny równouprawnieniu kobiet". Nadeszły też telegramy z Afryki, Indji, Chin oraz od prezydenta parlamentu perskiego. Kilkuset sprawozdawców prasy różnych krajów i języków notowało sprawozdania z posiedzeń.

Liga obradowała dni kilka—wygłosiła kilkadziesiąt znamiennych odczytów i referatów, przyjęła do swego składu pięć nowych federacji kobiecych (z Belgji, Rumunji, Afryki połudn., Chin i... Galicji), sformułowała konkretne wnioski dotyczące solidarnej, wszechświatowej akcji kobiet, celem „zdobycia niezależności prawnej i politycznej, od których *przyszłość rasy ludzkiej i ekonomiczna równowaga społeczeństw zależy...*"

E. W.

Okazy zbytku w dziale futer.

Zestawienie futer jasnych i czarnych. Lis czarny z Alaski i gronostaje.

Płaszcz fokowy ciemny i mufka z białego lisa.

Ryciny dołączone do tego opisu przedstawiają Szanownym Czytelniczkom naszym dwie zręczne postacie kobiece, ustrojone modelowo i bajecznie kosztownie w przepiękne i przepięknie zestawione i wykończone futra. Nie jest to oczywiście wzór do naśladowania dla zwykłych śmiertelniczek, będąc przystępnym tylko dla bardzo nielicznych wyjątków, ale zawsze warto wiedzieć, jakie też na szerokim świecie noszą futra wybranki losu — a przynajmniej wybranki zbytku i „Mody„.

Na wspaniałej szacie z brokartu *broché relief* w zestawieniu koloru *beurre* (masła) z czarnym, ogromna etola gronostajowa prese biała, zakończona frendzelką z gronostajowych ogonków, sztucznem ułożeniem okala talję i przybiera szatę. Jest to strój królewski, kładzie go się na rauty, na wielkie koncerty, na przedstawienia operowe, na śluby, na proszone obiady i t. p. wymaga specjalnego wytwornego otoczenia, specjalnych warunków, no... i oczywiście specjalnego... budżetu—bo to przedstawia tysiące rubli.

Palto z fok autentycznych, przepiękne, ale szalenie drogie, obrzymia mufka z lisów białych. Tu nasuwa mi się jedna uwaga, którą w formie tualetowej przestrogi pozwalam sobie udzielić moim łaskawym i pięknym Czytelniczkom. Biały lis, jako śliczny, bardzo elegancki i bardzo twarzowy, zyskał masę zwolenniczek — ale niestety, jak wszystko co ładne, tak i białe lisy są drogie... Puszczono więc w obieg całą olbrzymią ilość białych lisów... *królików*, imitujących w okropny sposób lisy prawdziwe. Jest to tak zwana tualetowa tandeta — wstrętna, której gwałtownie unikać należy. Kto ma na to, niechaj nosi prawdziwe białe lisy — w razie przeciwnym, trzeba zapomnieć, że są ładne i modne—i nie nosić ich wcale...

Marcèle.

KILKA WSKAZÓWEK KOSMETYCZNYCH.

W licznych moich specjalnych redakcyjnych korespondencjach, spotykam się ciągle z kwestjami, dotyczącemi cery i włosów. Jest to temat nieprzebrany, jak nieprzebrane są chorobliwe przypadłości tych dwóch tak ważnych składników, ogólno-ludzkiej powierzchowności. Niema zapewne cywilizowanej istoty, któraby nie życzyła sobie mieć gładkiej i zdrowej twarzy, oraz bujnych ładnych włosów, a cóż dopiero za rozmiary przybiera to słuszne pragnienie u kobiet, będących tak zwaną płcią piękną, czyli uosobieniem estetyki. Niestety, przypadłości cery i włosów nie oszczędzają nawet najpiękniejszych istot, szpecąc nadobne lica, pozbawiając głowy naturalnej wspaniałej ich ozdoby. Na sto twarzy, dwadzieścia pięć dotkniętych jest największą plagą cery, to jest tak zwanemi *wągrami*, czyli zatkaniem przewodów łojowych skóry, powstałych skutkiem jej chorobliwego przetłuszczenia. Dolegliwość wągrów dzieli się na trzy okresy: 1) zatkanie przewodów i tworzące się w porach czarne punkty. 2) Zapalenie skóry i wydostawanie się z niej za wyciśnięciem żółtawej cieczy. 3) Podskórne twarde wrzodziki, bardzo bolesne, długo zbierające, nie dające się wyciskać i pozostawiające po sobie silne rozszerzenie porów, oraz sine plamy. Łatwo sobie przedstawić, jak to wszystko wyglądać może...

Najśmielej powiedzieć mogę, że chcąc udzielać odpowiednich wskazówek, co do środków antiwągrowych, wypróbowałam całe dziesiątki płynów, maści i t. p. szukając ciągle owych najlepszych—*radykalnych*. Po kilkoletnich staraniach w tym kierunku, doszłam do celu, to jest do *niezawodnie* leczących tę plagę specyfików. Oto jak się przedstawiają: *Płyn Vesta, Perełki alkaliczne, Pasta alkaliczna* i *Puder Vesta* oraz jako *wielki dzwon* na wągry w 3-im okresie okłady rozgrzewające z plastru *Hamiltona* (pod ceratką i flanelą). Na wągry w drugim okresie codzienne mycie *perełkami alkalicznemi* i codzienne przetarcie twarzy płynem *Vesta*. Na I-szy okres, *płyn Vesta*. Wystarcza wtedy umycie *otrąbkami Vesta*. Na zadawnione wągry *Pasta alkaliczna* (wszystko według wskazówek znajdujących się przy tych specyfikach). Radziłam to już setkom osób i nie miałam wypadku *ujemnego*.

Co się tyczy włosów, to ich plagą jest przetłuszczenie skóry na głowie, tak zwany *łojotok* w połączeniu ze znaczną ilością łupieżu, oraz rozszczepianie widełkowate końcówki włosów, a także ich łamliwość na całej długości. Wszystko to pociąga za sobą obfite wypadanie włosów i niechybną *à la longue, łysinę*. Rzecz prosta, że takie chore włosy, mają niezmierną łatwość do utraty barwnika czyli do *siwizny*, która w tych warunkach już nawet w lat dwadzieścia kilka, często się pojawia. I tu powtórzyć mogę to, co zaznaczyłam przy wągrach.

Po licznych próbach zdobyłam radykalny sposób leczenia łupieżu, rozszczepiania i łamliwości włosów, a to w postaci znakomitych specyfików, mających zbawczy *Rad* za podstawę. Po oswobodzeniu i włosów z łupieżu za pomocą mydła *Antrasolowego w płynie* — stosuje się *Olejek Hel radiowany*, następnie *Radiol*, w razie zbytecznej suchości naciera się *pomadą Flora*, a włosy odzyskują *zupełną zdrowotność*. Wszystkie te środki są specjalnością *Kalotechniki* (z wyjątkiem *pomady Flora*) i tamże do nabycia.

Kwestja siwizny pozostawiała jak dotąd bardzo wiele do życzenia, bo prawdziwie dobrej *doskonałej* farby nie było, wszystkie miały jakieś niedostatki — dopiero niedawno pan *Caro Lenveille*, chemik francuzki, skombinował istotnie zadziwiający preparat, zwany *Eau de Jouvence*, przywracający wspaniale włosom ich pierwotny kolor, nadający mu wszelkie żądane odcienia. Jest to jak *dotąd*, bez najmniejszej kwestji ani *blagi*—najlepsza z istniejących farb. Przedstawicielem pana *Lenveille*, w Warszawie jest p. *Roman Prochowski*, fryzjer. Za wszystkie te specyfiki, które są wskazówkami mojemi objęte, ręczę całą mają kosmetyczną wiedzą i dużem doświadczeniem.

Marcèle.

Odpowiedzi Tualetowe.

Pięknej Florze. Tak jest istotnie Szanowna Pani. W Paryżu, a więc w centrum mody — przestano uważać za ideał estetyki kobiety szczupłe i cieniuchne jak wystrugane z drzewa figurki — Obecnie pozwolono paniom na kształty wyraźniejsze, obfitsze, nie skrępowane. Tę miłą i *zdrową* swobodę, zapewnia modnym damom, przedewszystkiem gorset o fasonie zupełnie zmienionym, i istotnie racjonalnym. Gorsety *„Mystère“ „Fourreau“ „Angélico“* nadaja figurze ową obowiązującą teraz linję postaci. Przywiozła je z Paryża bardzo postępowa i estetyczna gorseciarka *pani Janina Kiedrzyńska*, której pracownia zasługuje na uznanie i poparcie. Mieszkanie prywatne — więc ceny przystępne.

Dopiero na nowy modny gorset, można mierzyć modny kostjum. Przyjeżdżając do Warszawy na krótko, najlepiej kostjum taki nabyć gotowy. Ponieważ Szanownej Pani chodzi o coś naprawdę ładnego, *moderne* a w bardzo dobrym tonie, radzę z całą sumiennością i przeświadczeniem udać się do najpierwszorzędniejszego magazynu pana *W. Janiszewskiego*, który w początku bierzącej jesieni zaopatrzył się w Paryżu i Wiedniu w przepiękne kostjumy krawieckie i kazał je w swej pracowni kopjować. Jakaś niewielka poprawka — i kostjum *zaraz gotowy* — a w dodatku śliczny. Tamże gotowe piękne etole z lisów syberyjskich żółtych, ciemnych i czarnych.

Marcèle.

Szkoły polskie w Łodzi.

Bardzo dobrze zrobiła *Nowa Gazeta Łódzka*, wydając ciekawą i pożyteczną broszurę o szkolnictwie polskiem w Łodzi. Jakkolwiek nie daje ona całkowitego obrazu tego szkolnictwa, nie uwydatnia należycie jego rozwoju, nie daje żadnych cyfr, dotyczących owoców jego, ale bądź co bądź podkreśla i zaznacza to szkolnictwo, które już dziś wybitne miejsce zajęło w największem ognisku przemysłowem. Dlatego też praca ta zasługuje na uwagę.

„Szkolnictwo polskie w Łodzi posiada wyjątkowo poważne placówki, pomimo że miasto jako całość, nic dotąd szkołom polskim nie dało, nic dla nich nie uczyniło".

„Najdonioślejsze znaczenie społeczne posiada szkoła polska w Łodzi, jako w mieście o charakterze wybitnie kosmopolitycznem, choć z przewagą ludności polskiej, — pisze p. Helena Buchnerówna. — Ścierają się tu najrozmaitsze prądy, hasła, dążności, wyznania, co ujemnie się odbija na wielu osobnikach ze środowiska polskiego, pacząc i wykoszlawiając w nich często największe tradycje narodowe, najwznioślejsze jego ideały. Na szkole polskiej ciąży ten wielki obowiązek posłowania i wpajania w dzieci zasad tak nieugiętych, by żaden chwast obcej naleciałości nigdy zakiełkować w nich nie mógł. Jest ona jedyną strażniczką i szerzycielką uczuć i ideałów narodowych w Łodzi — mieście z różnolitą ludnością, pochłoniętą przeważnie poziomemi, gorączkowemi zabiegami o dobra materjalne..."

Na pierwszem miejscu szkolnictwa polskiego w Łodzi postawić należy szkołę męzką handlową Zgromadzenia Kupców m. Łodzi, niestety, zupełnie pominiętą przez wydawnictwo *N. Gaz. Łódzkiej* — jak zaznacza redakcja z przyczyn od niej niezależnych. Nie wnikamy w te przyczyny, które zapewne będą usunięte, gdyż redakcja zamierza wydać osobną monografję tej szkoły. W każdym jednak razie szkole tej zawsze należy się miejsce naczelne. Posiada ona od niedawna przy ul. Dzielnej własny gmach specjalnie zbudowany według wszelkich wymagań, poniekąd na wzór gmachu szkoły Zgromadzenia Kupców m. Warszawy przy ul. Prostej i Walicowie, tylko w skromniejszych rozmiarów. Szkoła ta jest oparta na bardzo mocnych podstawach materjalnych, jest prowadzona pod wytrawnem kierownictwem pedagogicznem, przy pomocy zdolnych i sumiennych pedagogów. Przytem ma ona dostateczne pomoce naukowe, własne laboratorja, narzędzia i piękne, przestronne, widne sale. Dotąd w całym kraju tylko dwa wybitne ogniska nasze — Warszawa i Łódź, posiadają takie szkoły, we własnych wzorowych gmachach umieszczone.

Na uwagę zasługuje, między innemi, gimnazjum polskie Towarzystwa „Uczelnia", dające wszechstronne wykształcenie średnie. Szkoła ta istnieje od r. 1904. Szkoła ta mieści się w obszernym gmachu, który ofiarował człowiek, pełen niepospolitych uczuć obywatelskich i opiekun zakładu, p. E. Heiman. Program ogólny różni się nieznacznie od ilości godzin wykładowych, przyjętych w rozkładzie gimnazjów rządowych. Wzmocniono znacznie grupę nauk przyrodniczych, wprowadzając lekcje z tej dziedziny od klasy pierwszej do 8-ej włącznie. Również ustalono większą ilość godzin grupy nauk społecznych i filozoficznych, skupiając je w dwu najwyższych klasach. W najniższych wprowadzono grupę nauk, pobudzających zmysły poszczególne, by osiągnąć pożądaną równowagę w kształceniu młodzieży.

Pomocą do nauki szkolnej są: laboratorjum chemiczne, gdzie pracują uczniowie w godzinach wieczorowych, gabinet fizyczny, gabinet przyrodniczy, kolekcja modeli gipsowych i innych dla nauki rysunków, bibljoteka uczniowska, z której wydaje się książki z uwzględnieniem indywidualnego poziomu umysłowego każdego ucznia.

Lekcje gimnastyki objęte są planem zajęć obowiązkowych i odbywają się w obszernej sali, zaopatrzonej w urządzenia gimnastyczne, podług najnowszych wymagań techniki specjalnej. We wszystkich klasach, oprócz ćwiczeń t. zw. zapobiegawczych, szeroko zastosowano gry i zabawy, dające możność nietylko prawidłowego rozwoju fizycznego, lecz w równej mierze wpływające dodatnio na stan psychiczny ćwiczącej się młodzieży. Wprowadzono także lekcje muzyki i śpiewu.

Do rady pedagogicznej wchodzi przeszło 20 nauczycieli, posiadających dyplomy uniwersyteckie, gruntowną wiedzę fachową.

Dyrekcja przestrzega pilnie, ażeby uczniowie nowowstępujący byli należycie przygotowani, dzięki czemu wzrasta stale poziom klas poszczególnych, wprowadzenie zaś egzaminów końcowych umożliwiło dyrekcji starania o dostęp dla wychowańców na wszechnice zagraniczne, na prawach słuchaczów zwyczajnych. Władze uniwersytetów: krakowskiego, lwowskiego oraz politechniki we Lwowie wyraziły opinję, że pro-

gram egzaminów dojrzałości gimnazjum łódzkiego najzupełniej odpowiada programowi szkół średnich austrjackich. Opinję tę zakomunikowano ministerjum oświaty w Wiedniu, wobec czego wychowańcy tej uczelni będą mieli wstęp do powyższych wszechnic i politechniki. Uniwersytety szwajcarskie dały również przychylną odpowiedź w tej mierze.

Gimnazjum polskie utrzymywane jest z funduszów społecznych, których dostarcza Towarzystwo „Uczelnia" i istniejące przy gimnazjum „Koło wpisów dla niezamożnych uczniów"; wreszcie z opłat wpisów. Aby przyjść uczniom z pomocą, stworzono przy szkole antykwarjat, w którym uczniowie zamożniejsi składają książki dla kolegów uboższych.

Do zakładów, utrzymywanych przez instytucje społeczne, należy także 4-klasowa szkoła handlowa Łódzkiego Towarzystwa szerzenia wiedzy handlowej, założona przez Stowarzyszenie wzajemnej pomocy pracowników handlowych m. Łodzi. Celem szkoły jest danie wychowańcom wykształcenia ogólnego i specjalnego handlowego. Zakład należy do typu 4-klasowych szkół handlowych, jakkolwiek zakres nauk ogólnokształcących odpowiada 6-iu klas. średnich zakładów naukowych. Szkoła przygotowywa młodzież do życia i pracy na polu handlowem, zdolną od pierwszego dnia do obowiązków i samodzielnego ich spełniania.

Do szkół, stojących na podstawach samopomocy społecznej, zaliczyć należy także Kursy przemysłowo - techniczne Wacława Kujawskiego. Łódź już oddawna wymagała założenia specjalnych kursów technicznych tkactwa, przędzalnictwa, apretury i farbiarstwa, aby umożliwić młodzieży niezamożnej korzystania z tych nauk, po które wyjeżdżać musiała zagranicę.

Kursy techniczne, założone w r. 1912, urządzone są na wzór szkół podobnego typu w Reutingen, Bernie na Morawach i w Chemnitz. Szkoła obejmuje kurs dzienny przędzalnictwa i tkactwa oraz wieczorowy tych samych przedmiotów. Szkoła posiada tkalnię mechaniczną i ręczną, laboratorjum towaroznawcze, podręczną bibljotekę fachową oraz wygodne sale wykładowe. Kandydaci kursu dziennego powinni złożyć świadectwa z ukończenia conajmniej trzech klas, albo poddać się egzaminowi. W pierwszym roku szkoła liczyła 22 słuchaczów, w drugim 50. Dotychczas ukończyło kursy 18 uczniów, którzy objęli posady w fabrykach miejscowych. O wysokości poziomu naukowego tego zakładu świadczy okoliczność, że fabrykanci miejscowi zgłaszają się do kierownika kursów po kandydatów na majstrów i często posyłają praktykantów na kursy własnym kosztem.

Oprócz powyższych zakładów, zawdzięczających swe istnienie samopomocy społecznej, Łódź posiada zakłady stworzone i prowadzone przez jednostki, jak progimnazjum polskie J. Radwańskiego, kursy handlowe Stanisława Lipińskiego oraz szereg zakładów naukowych żeńskich: 7-klasowa szkoła handlowa żeńska (ze szkołą przygotowawczą dwuklasową) Cecylji Waszczyńskiej, 7-klasowa szkoła Lucyny Siennickiej, 7-klasowy zakład naukowo-wychowawczy Heleny Miklaszewskiej, 7-klasowy zakład naukowy żeński Marji Pruszyńskiej, 8-klasowa szkoła polska Zofji Bader-Libiczowskiej, 7-klasowa szkoła żeńska Julji Zbijewskiej, szkoła koedukacyjna Heleny Cholewickiej, 7-klasowa szkoła żeńska Tow. im. Elizy Orzeszkowej i inne.

Poza Łodzią na uwagę zasługuje siedmioklasowa szkoła handlowa w Zgierzu, która stanowi odrębny typ szkoły koedukacyjnej. Uczniowie i uczenice spędzają cały czas zajęć szkolnych razem. Słuchają razem wykładów i uczestniczą we wszystkich grach i zabawach pod dozorem wychowawców i wychowawczyń.

„Mimo, iż główny procent uczniów stanowią dzieci miejscowej inteligencji, która zwraca baczną uwagę na sprawy wychowawcze, nie było przez czas istnienia szkoły żadnych zarzutów przeciw przyjętemu w niej systemowi. Przeciwnie, skrzętnie notowane spostrzeżenia wychowawców i wychowawczyń doprowadziły do wniosku, iż tak dziewczęta jako też i chłopcy zyskują przy nim ogromnie. Chłopcy stają się mniej brutalni, dziewczęta zyskują większą samodzielność.

Szkoła posiada własny budynek, bogate zbiory przyrodnicze, gabinet fizyczny, laboratorjum chemiczne, księgozbiór, liczący z górą 3000 tomów, salę rysunkową, ogródek botaniczny i aquarium z typowemi roślinami i żyjątkami naszych pól i wód.

W Pabjanicach istnieje również siedmioklasowa szkoła handlowa koedukacyjna; ale jest to inny typ niż szkoły zgierskiej. Pod względem pedagogicznym szkoła ta stoi na bardzo wysokim poziomie i dlatego odgrywa rolę szkoły „wyższej" wobec 4 i 6-klasowych szkół łódzkich, których abiturjenci udają się do Pabjanic i tam kończą wykształcenie średnie.

Szkoły powyższe w Pabjanicach i Zgierzu powstały na podstawach koedukacyjnych ze względów praktycznych, oszczędnościowych.

Wogóle szkolnictwo polskie w Łodzi i pomniejszych ogniskach okolicznych stanowi niezmiernie doniosłą pracę społeczną i w ostatnich latach poczyniło olbrzymi postęp, jakkolwiek w tej dziedzinie istnieją jeszcze wielkie braki oraz bardzo wielkie trudności do pokonania. Nie ulega jednak wątpliwości, że praca jednostek oraz rozwój samopomocy społecznej w tej podstawowej dziedzinie kulturalnej, będą nabierały coraz większej energji i usilności.

Zenon Pietkiewicz.

Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia i potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza, — **Łódź, Inżynierska 1.**

POPULARYZACJA WIEDZY.

Wzrok a barwy.

Biologja, znając stosunek owadów do roślin, przypuszczała, że barwy kwiatów stanowią środek wabiący. Bo i pocóżby powstawały tak różnorodne i wspaniałe efekty barwne na gałązkach niepozornych częstokroć roślinek? Z drugiej strony, tłomaczenie, że barwy wabią owady, owe pośredniki, przenoszące wyraz miłosnej tęsknoty dwuch płci, te gońce cudoskrzydłe, warunkujące byt nieśmiertelny. Bez nich roślina nie zdołałaby wytworzyć nasion, które streszczony gatunek zachowują dla życia w okresach niesprzyjających.

Lecz odzywały się, jak zawsze i we wszystkiem, głosy wątpiące i nawet, ostatnio, zatrymfowały. Owady barw nie widzą.

C. von Hess wykazał, że świat barw istnieje li tylko dla oczu zwierząt kręgowych, żyjących w środowisku powietrza. Wszystkie zwierzęta bezkręgowe barw nie rozróżniają. Zupełnie podobnie są upośledzonemi zwierzęta wodne, ryby np. Już na głębokości dwuch metrów barwy stają się jednolicie szare. Na nic więc wymyślne i jaskrawe barwy liści roślin podwodnych, godowe szaty ryb i traczek. Oko damy serca na tym przepychu poznać się niezdolne.

...Więc pocóż te barwy tak cudne?

Nie na wszystkie pytania ma Wiedza odpowiedź, ale i w tym wypadku jednak ma gotową uwagę: Nie tędy droga. Pragnący poznać tajemnicę, pytać musi: Jakiej przyczyny, skutkiem, następstwem — owe barwy piękne? a dalej dopiero, być może, jakie warunki zachowały je dla uświetnienia życia.

Utrwalanie materjału drzewnego.

Drzewo, ten niezastąpiony materjał budowlany, ma jedną wielką wadę, łatwo ulega zepsuciu. Oddawna już technika usiłowała usunąć tę wadę, bądź zmniejszyć ją do możliwych granic. W Szwajcarji nasycają pnie drzewne, przeznaczone na słupy telegraficzne oraz na deski budowlane kwiatem miedzi, kostki drewniane na bruk i podłogi są utrwalane różnymi roztworami, w rzędzie których ciecze smołowcowe i dziegciowe grają wielką rolę. Ostatnio robiono próby z elektrycznością. Dr. Nordon, który wpadł na ten pomysł, w coraz nowych publikacjach uzasadnia przykładami i sprawozdaniami z wykonywanych doświadczeń, pożyteczność swojej idei.

Ostatnio podał „Cosmos“ wyniki najnowszych doświadczeń d-ra Nordon'a. Grube tarcice układa się rzędami na podłodze, pomiędzy każdą warstwą drzewa umieszcza się wilgotny dywan, stanowiący elektrodę, przez którą przepuszcza się w ciągu dziesięciu godzin prąd zmienny. Pod wpływem prądu soki drzewa, zarówno jak i celluloza, zmieniają się chemicznie w ten sposób, że stają się odpornemi na gnicie. Drzewo przytem schnie powolnie, regularnie twardniejąc i stając się ścisłem. Dzięki tej nowej metodzie, drzewo ścięte może służyć do użytku już po upływie paru tygodni zaledwie.

Metoda przeszła ogniową próbę w Bordeaux, gdzie bruk drewniany, z preparowanych kostek sposobem elektrycznym, przetrwał znakomicie okres sześcioletni.

Utrwalanie materjałów drzewnych i wogóle roślinnych ma nietylko na celu zabezpieczenie ich od gnicia. Niezmiernie ważną jest rzeczą uczynienie ich niepalnymi. I w tym kierunku zrobiono wiele prób. Ostatnio dokonano doświadczeń z przesyconem słomianem pokryciem dachów. Materjał uodporniony dostarczyła królewska doświadczalnia materjałów w Berlinie Br. Lichterfelde, na wniosek pruskiej izby poselskiej. Próba wypadła świetnie: spaleniu ulegały tylko pojedyńczo wystające słomki. Jednak będziemy mogli być pewni, że „czerwony kogut“ odfrunie z naszych strzech wiejskich, gdy odbyte próby zatwierdzi nieomylny sędzia — Czas. Nie jest stwierdzone, czy niepalność nie jest chwilową i czy zmianie nie ulega pod działaniem powietrza.

Kwestję uodporniania drzewa na działanie ognia rozwiązano w ten sposób, że bale i deski, nasycone roztworami soli pod znacznem ciśnieniem w cylindrach żelaznych, zabezpiecza samodziałanie żaru. W wielkiem cieple sól występuje nazewnątrz, tworząc twardą powłokę niepalną, która przy wzrastającej temperaturze, zaczyna parować, gasząc ogień automatycznie.

Z radiotelegrafji.

„Kölnige Zeitung“ podaje sensacyjną wiadomość o nowem odkryciu, zrobionem przy pomocy telegrafu bez drutu. Według relacji tego pisma fale elektryczne nie rozchodzą się w przestrzeni regularnie, lecz w pewnych miejscach zupełnie zanikają, by w innych wzmocnić się do formalnych prądów. Zauważono mianowicie, że prądy te towarzyszą kierunkowi biegu prostych rzek, przebiegają np. ponad Renem lub Roną, że mówić można o powietrznych drogach iskrowych wyładowań instalacji telegraficznych.

Oto jaskrawy przykład. Stacja telegrafu bez drutu, należąca do państwowej poczty w Norderney, wysyła depeszę, która biegnie nad morze Śródziemne. Okręt, posiadający stację odbiorczą, podróżujący w kierunku wschodnio-zachodnim, otrzyma depeszę z Norderney nie w każdem miejscu z jednakową siłą. W okolicach ujścia Renu, depesza 10 do 100 razy jest silniejsza niż w innych punktach drogi morskiej, leżących tuż zaraz poza linją ujścia Ronu.

Podobne zjawiska obserwowały liczne amerykańskie stacje radiotelegraficzne.

Telegrafja bez drutu zyskuje sobie coraz szersze obywatelstwo. Obecnie istnieje aż 230 stacji radiotelegraficznych, przeznaczonych do użytku publicznego. Prócz tego liczne stacje są rozrzucone po najnowszych wyspach pływających, jakiemi są współczesne okręty. Otóż tak zaopatrzonych okrętów przewozowych Anglja posiada 590, Niemcy 253, Francja 90, Włochy 57, Holandja 55, Japonja 37, Belgja 22, Hiszpanja 19, Grecja 17, Norwegja 16, Danja 14, Kanada 13, Rosja 12 i Portugalja 5.

dr. W. R.

LITERATURA NASZA I OBCA
POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJAN ORLICZ.

17)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

W płytkich sandałach na bosych nogach, kroczą wolno, poważnie, jakgdyby, zatapiając potężne stopy w piachu pustynnym, stąpali obok swych objuczonych wielbłądów.

Czyżby ci synowie pustyni w fałdach swych szat nieść mieli z sobą gorący jej oddech?

Ciekawość następujących wprost na nich podróżnych, nie zdaje się zupełnie mieszać ich kamiennego jakoby spokoju.

Jedynie zajęci sobą. Tak różne od ich egzotycznych postaci mrowie ludzkie, nie przyciąga ich uwagi wcale.

Hela i Żarski przypatrywali im się ciekawie.

Wsiadając do wagonu, Hela jeszcze oglądała się za nimi.

Kiedy dojeżdżali do Gare du Nord, Żarskiemu uprzytomniło się z jakiem ściśnieniem serca ztąd wyjeżdżał.

Ktoby wówczas przypuścił, że w rok niespełna, wróci tu z tą, która była wieczną jego tęsknotą.

— Szkoda, że nie dałem znać któremu z kolegów, byliby nas oczekiwali — powiedział w dalszym ciągu swych myśli.

— Dobrześ zrobił, Zdzisiu. Jabym cię wogóle prosiła, drogi, żebyśmy nie widywali nikogo, aż do czasu kiedy mi Juljan prześle rozwód i będziemy się mogli legalnie połączyć. U nas o rozwód nie trudno, a on to zrobi chętnie, rad będzie uszczęśliwić drugą.

— Jeśli sobie tak życzysz. Ale czy ty się rzeczywiście liczysz z tą pustą formą? Czyż my przez to będziemy się więcej kochali, albo to nam da więcej szczęścia?

— Cóż chcesz drogi, widocznie nie jestem jeszcze z tych „âmes eroluées", co potrafią iść przed siebie, depcąc wszystko po drodze.

Bo ja wiem? może się mylę, może to we mnie pokutują stare przeżytki, ale wiecznie chodzi za mną myśl, że o ile „jutro" nie przyniesie innych form życia, „dziś" takie jakim ono jest mścić się będzie srodze na tych co lekceważą jego kanony.

A już pierwszą tego ofiarą — kobieta. Szczęście moje, kompletnem będzie wtedy, kiedy z dumnie podniesionym czołem, głośno powiedzieć będę mogła: mój.

— Jednakże, poszłaś za mną, wbrew i na przekór wszystkiemu.

— Poszłam bo w tobie świat mój cały, bo gotowam przy tobie i dla ciebie, przyjąć od życia wszystkie konsekwencje, ale i w tej przyznać muszę—nadziei, że ta bądź cobądź fałszywa pozycja jest tylko czasowa.

„Rzecz dziwna, myślała nie bez bólu, jak mężczyźnie trudno jest wniknąć w zakątki psychy kobiecej".

— Pomyśl, jakby cię bolało, gdyby jakaś pierwsza lepsza, może o wiele mniej warta odemnie, pozwoliła sobie patrzeć na mnie z gory.

— Jak chcesz, najdroższa. Tylko, jeśli ci chodzi o opinję ludzką, to bądź pewna, że tej przedajnej ladacznicy nie dogodzisz nigdy. Nie warto dla niej ponieść najmniejszej ofiary. W to tylko wierz, że wszystkie dążenia moje, pójdą w kierunku twego zadowolenia.

— Wiem, Sław, wierzę.

— Więc w takim razie nie wprowadzimy się do starej pracowni na „Boulevard Arago", gdzie się schodzili do mnie gromadami, ale o ile znajdę tam, wezmę na „Campagne Première". Nawet to taniej będzie, bo my się jedyna z początku liczyć musimy.

— I to cię smuci? Dzieciaku... Ty wca-

le wiedzieć nie możesz jaka dotąd biedna ze mnie była bogaczka.

— Ty słodka, jedyna.

Dojechali do stacji.

Niemożna się było dowołać tragarza.

Żarski z trudnością wydźwignął na peron swoją ciężką walizę i poszedł poszukać numerowego.

Hela została sama.

Wir różnorodnych myśli zakotłował jej w mózgu.

Oto jest znowu w owym Paryżu, do którego za pierwszym razem z taką zajeżdżała ciekawością. Nie czeka na nią apartament na „Avenue de l'Opera" nie wie nawet, gdzie i jak się umieści, a mimo to fala szczęścia rozpiera jej pierś.

Wszak przyjechała tu z ukochaniem całego swego życia. Jednak lęk przycupnięty gdzieś w zakątku duszy wypełzł swoim zwyczajem. Ile razy przyszło jej, jak mówi Zdzich, otworzyć drzwi jakiemuś nowemu X. życia, lęk ten powracał z nową siłą. Kto wie, co czyha za takimi drzwiami?

Żarski wrócił z tragarzem, i naraz cały lęk prysnął jak mroki przed światłem.

Nie mając gotowej pracowni, kazał rzeczy nieść do najbliższego hoteliku wprost stacji.

Hotel o bardzo przyzwoitej powierzchowności okazał się wewnątrz brudnym, dusznym, źle obsługiwanym zajazdem:

Zabolało go niezmiernie widzieć tu obok siebie, tę wytworną, do zbytków nawykłą kobietę.

„Piękny wstęp ani słowa," pomyślał — „Oj, miała rację pani Marta, że się rządzę zawsze pierwszym impulsem. Nibyto znam Paryż i żebyż tak wpaść... Trzeba było napisać do kogoś i odrazu wziąć pracownię.

Z samego rana pobiegł na "Campagne Premiére". Numer siedmnasty był na szczęście wolny.

Przyleciał uradowany: dobry „omen", lubię siedemnastkę.

Kiedy się usadowili na poduszkach powozu i fiakr ruszył z miejsca, Hela obejrzała się z niepokojem na biegnącego na równi z końmi człowieka.

— Co to znaczy Zdzichu?

— Nie lękaj się: to jeden z robotników bez pracy, biegnie tak nieraz parę kilometrów, żeby zadźwigać bagaż i coś zarobić.

— Ależ nie można pozwolić mu tak biec, zabierzmy go.

— Wątpię, czy woźnica się zgodzi.

— Chyba nie będzie tak bez serca; patrz, to człowiek już nie młody.

— O, im to nie nowina. Zobaczysz tu nieraz robociarzy z ufarbowanymi włosami, nie przyznających się do starości, bo starym trudno znaleźć pracę w fabrykach.

— A toż nasza Warszawa to Eden.

Heli posmutniało serce.

Woźnica mniej twardy od innych, pozwolił robotnikowi stanąć na stopniu.

Jak tylko wniesiono rzeczy, Hela zabrała się do porządkowania.

Z prawdziwie kobiecym wdziękiem pozawieszała draperje, porozmieszczała drobne prace, meble, książki.

Wszystko ją bawiło, jak dziecko, najbardziej lwi łeb, łypiący niby ślepiami i grożący wyszczerzonymi kłami. Umieściła go na wprost lustra.

Życie cudowne, całe złożone z miłości i sztuki, niby baśń tęczowa, odwijało z dnia na dzień przed nią swą barwną wstęgę.

Jak para kolegów, biegali razem po muzeach, wystawach, chodzili na obiady do restauracyjki „a un franc vingt cinq".

Czasem przyszedł im kaprys kazać przynieść obiad do domu, a wtedy rzucali się jak dwoje dzieci niby do kosza niespodzianek i wyciągali jedno przez drugie fryturą trącące specjały, A jeśli znalazł się rzeczywiście jakiś lepszy kąsek wtedy powstawały nieskończone sprzeczki i swary: każde chciało drugiemu zostawić większą część...

Dni schodziły jednakie a cudownie rozmaite. Noce nieśnionych nigdy, nie przeczuwanych pieszczot, budziły wszystkie naiwne legendy raju.

Nie pomyślano jeszcze o poważnej pracy. On biegał z nią do „Bon Marché" dokupić coś do gniazdka, albo sprawić coś niezbędnego, lub wreszcie tylko oglądać; ona— z nim—zwiedzać ciekawe wykopaliska „Cluny", modlić się u ołtarzy „Luksemburga", „Panteonu", „Luwru".

Najczęściej Louvre'u.

„Gioconda" potrafiła trzymać ją godzinami przed swoim zagadkowym uśmiechem.

— Patrz Helu, mówił cichutko jak w kościele, czy ma prawo zwykły śmiertelnik sarkać na los, jeśli taki Lionardo, uczony architekt, rzeźbiarz, mechanik, wynalazca,

malarz-arcymistrz, w cielesnej geniuszu, dobroci, taki musiał mieć kolcami najeżony żywot. Zapoznanemu, prześladowanemu, po śmierci dopiero przyznano, że „Natura nie stworzy już drugiego“.

Ową Giocondę, jedyne ukochanie bujnego swego życia, pożegnawszy na trzy zaledwie miesiąc chociaż przeczucie mówiło mu: „didoman no c'é certezza*) miał nie ujrzeć już więcej.

Pozostał mu jedynie ten jej portret, z którym najhojniejsze oferty królów nie nie potrafiły rozłączyć go aż do śmierci.

Miłość jego poszła z nim w zaświaty.

Przechodzili sale zawsze razem, jak do „sanctuarium“ zbliżając się do tworów ludzkiego genjuszu.

On z przejęciem prawdziwego artysty, objaśniał, rozświetlał, korzył się przed swymi bogami.A wtedy ona, patrząc mu w oczy z zachwytem i wdzięcznością, mówiła również jak on szeptem.

— Wiesz Zdzichu, z oczu twoich spływają promienie wprost do mojej duszy: One otwierają mi na świat okna, które dotąd były przed nią szczelnie zamknięte.

Słowa te napełniały go niewypowiedzianym szczęściem.

A kiedy zmęczeni, wracali jej ulubionym bulwarem „Montparnasse“ do swojej obszernej pracowni, schodził na nich zachwyt opadającego ze spokojnego nieba, gazą mgły spowitego zmroku.

Zmroku niebieskawego, przejmującego uczuciem nieziemskiej wprost, błogości.

Bulwary, trotuary, gmachy — wszystko to skąpane w tym bajecznym mroku wytwarzało mistyczną feerję bieli, oświetlonej bladym księżycem.

Od czasu do czasu zachodzili do luksemburskiego ogrodu. Mieli tam swój ustronny kącik. Zdala dolatywał ich ptaszęcy świergot dzieci, puszczających na sadzawkę swoje „okręty“. Za sobą, przed sobą, mieli piętrzące się, hojne wybuchy zieleni. Poprzez wysokie gałęzie starodrzewu szły szepty jakieś i pogwary. I było im tak dobrze w tym królewskim przepychu listowia, w tym dobrodziejstwie woni pachnącej życiem, że siedzieli długie chwile, trzymając się za ręce w pieśni serca bez słów.

Tylko jej, kiedy wychodzili od strony Odeonu, psuł nastrój niewidomy staruszek, przesuwający się automatycznie koło kraty ogrodu, obwołując złamanym, do lamentu podobnym głosem „La Patricie“.

Nie widywali nikogo: wystarczali sobie w zupełności. Żarski starał się unikać nawet kolegów, mieszkających w tym samym domu.

Nie wychodził zresztą nigdy sam.

Miesiące już trwało to życie odcięte od realnego świata.

Hela otrzeźwiała pierwsza.

— Sądzę, Zdzichu, że dobrzeby było, gdybyś potrosze zabrał się do pracy. Ja wprost mam wyrzuty sumienia: niepokoję się, czy nie wywieram jakiegoś ujemnego wpływu, lękam się poprostu o twój talent:

Począł się rzeczywiście brać się do pracy.

Wtedy siadywała za nim, i z nabożnym skupieniem śledziła za każdym rzutem pędzla. Nie przyszło mu nigdy na myśl zapytać, jak tam z finansami. Ale ją poczęło strasznie niepokoić to, że nikt się nie zjawiał po kupno, nie było żadnych zamówień.

Bywały jednak nieuniknione, ciągłe wydatki, a tak jedno jak i drugie nie miało pojęcia o prawdziwej oszczędności, choć niby wszystko oszczędzali.

Jadali np. licho, ale często, zamiast tramwajem posługiwano się fiakrem, zbytkowna rubryka, której nie zna budżet nawet średnio zamożnego francuza.

Nie mogła się przyzwyczaić do skromnego systemu świec, przygnębiało ją wprost to mroczne oświetlenie, więc kupiono lampę, która oprócz tego, że kosztowała dużo, pochłaniała całą masę tak drogiej w Paryżu nafty.

Na każdym kroku niepraktycznoś obojga narażała ich na zbędne wydatki

Fundusze tymczasem wyczerpywały się, aż w końcu poczęła brać na kredyt w mleczarni, w piekarni, u rzeźnika.

Jemu nic o tem nie mówiła, ale sama traciła głowę.

W samą porę przysłano z „Zachęty“ za obrazek.

Pospłacała długi i zostało jeszcze trochę grosza.

Przyszłość jednak stawała przed nią jak groźny znak zapytania. Troski, niby mroczne nietoperze skrzydła, łopotały tuż nad samą głową.

Jutro nie daje pewności.

— Wiesz, co ci powiem, Zdzisiu — powiedziała pewnego dnia — wartoby może, żebyś nawiązał dawne stosunki — to nie dla artysty takie życie. Nie trzeba, żeby wiedziano o mojej egzystencji, ale ty... musisz odszukać dawnych znajomych, kolegów, czasem zajść nawet do kawiarni.

— A ciebie zostawić samą?

— Myszy mnie nie zawloką, upewniam cię. Nie możemy przecież wiecznie bujać w obłokach, żyć trzeba, zstąpić na ziemię, Sław.

Może się dowiesz o jakiejś robocie, bo ja wiem? może dostaniesz jakieś zamówienie. Z takiego zasklepienia nic nie przyjdzie. Mądrze powiedział ten, co utrzymywał, że najlepszy sposób być zapomnianym przez swoich przyjaciół, to usunąć im się z przed oczu.

— Zrobię, jak zechcesz, moja ty praktyczna pani. Ty wiesz, podstępne stworzenie, że jak powiesz Sław, wszystko przeprowadzisz...

Jednak po długich dopiero ociąganiach, poszedł do „Taverne du Pantéon", gdzie zwykł był się schodzić z kolegami.

Zabawił niedługo i wrócił blady, widocznie zmartwiony.

Poznała w tej chwili, że jest coś niezwykłego.

— Coś się stało, Zdzichu.

Próbował się wykręcić. Nalegała z niepokojem.

— Poco ci sprawiać przykrość?

— Przerażasz mnie.

— No, to już lepiej powiem. Oj, sprawdzają się te drzwi, po za któremi niewiadomo co czyha.

Zerwała się z przestrachem.

— Co się stało?

— Osobiście niby nic. Ale co taki rok za szczerbę robi w życiu. Wyobraź sobie, że w Paryżu niema ani jednego z tych moich miłych chłopaków, o których ci zawsze mówiłem.

— Gdzież się podzieli?

— Skrzecki, ten kochany Skrzeka, zmuszony biedą wyjechał do kraju, poczciwy Jakajtys jest w Monachjum, Kryński, tak skwapliwie przy każdej okazji potrząsający brzękadłami moralności wyprowadził się do Joinville i zamieszkał niewiadomo dlaczego, bo napewno nie z miłości z tą obskurną Thierri, którą, pamiętasz? zastałem na owym sławetnym obiedzie u Cressangerów.

— No, a Orliński?

Zawahał się.

— Dlaczego nic nie mówisz o Orlińskim?

— Orliński,. nie żyje.

Oczy jej zaszkliły łzy.

— Zdzichu, ty wiesz, jak ja znam każdą twoją minę: tyś mi jeszcze nie wszystko powiedział. Co było Orlińskiemu?

— Życie mu ciężyło.

— Co?! więc się zabił? Jak? Dlaczego?

— Poszedł biedny do „Buttes Chaumont" i zrzucił się z tego tragicznego mostu, który już na śmierć tylu patrzał zrozpaczonych.

(d. c. n.)

LEON CHOROMAŃSKI

JULEK.

(Fragment z życia dziecka).

Julek się obudził. Głęboka czarna ciemność napełniła pokój Po chwili błyskawica przecięła mrok. Ujrzał na dywanie lwa z rozwartą paszczą, ciche sprzęty, stojące w lęku, piłkę kolorową, porzuconą w kącie. Usłyszał wycie wichru, wydzierającego się, krzyczącego groźnie. Znów światło liljowe, piękne, oślepiające bezlitosne wdarło się przez szyby, znów wszystko ukazało się, zakołysało i znikło. Jawiły mu się chmury straszliwe, przewalające się, rude, brązowe, czarne i obłoczki białe, płoszone, uciekające. Bóg groził! Zawisnął nad tym domem — w wysokościach nieprzenikniony w gniewie na ludzi. Czuł się bezradnym wobec tego Boga, który druzgocze drzewa piorunami. Wczoraj widział wielką gałąź oddartą. Rana jej była biała w rozszarpaniu i lśniąca, jak migdał. Listki mokre od ulewy, błyszczały jak zwierciadełka. Wielki Bóg się tak gniewa?

Straszliwy huk piorunu, który runął jakby w miejsce upatrzone, podniósł go z poduszek. Nasłuchiwał, czy się kto nie obudzi, czy nie usłyszy szmeru czyjejś ręki, szukając w ciemności zapałek, westchnienia, oddechu. Lecz tylko deszcz rzęsisty szumiał za oknem, i na podwórzu, za ogrodem i dalej, dalej..,

„Sam jestem"—ta myśl przeniknęła w nim jak płochliwa jaszczureczka wśród zielsk. Czuł siebie całego — małe, bezsilne ręce, małe nogi, oczy, które nie widzą nic, aż błyskawica ciemność rozedrze. Z przerażeniem dziwił się, że się Bóg gniewa. Czemu? Niepojęta surowość cią-

żyła nad nim. „A oni śpią“—myślał. Nie modlił się, lecz posyłał do Boga pragnienie, aby się On ułagodził.

A gdy burza poczynała cichnąć, nie zasnął zaraz. Odgłosy piorunów się oddalały, grzmoty pomrukiwały łaskawiej. Gdyby tak otworzyć drzwi, wyjść za próg domu i spojrzeć w górę — na Boga, który się już oddala? Już się Go nie bał teraz! Marzył o spojrzeniu za Tym, który odchodził przy błyskawicach wesołych, przy wietrze ucichłym, nucącym eszcze w drzewach jakby piosenkę pszczelną.

Lecz się nie podniósł z łóżka. Rozważał uporczywie, czy nie obraził Boga w ciągu dnia ostatniego i innych dni niedawnych. Cóż robił? Pozbierał papierki czerwone, zielone, liljowe, żółte, które się przewalały na dnie starej skrzyni, powygładzał je, związał wstążeczką zieloną, schował do kartki i pokochał: jak one pachną te kartki, oddarte od starych listów! Jeszcze przed śniadaniem wszedł na strych i wyglądał dymnikiem. Widział daleko w dole ulicę. Biały pyszny koń przebiegł w szalonym pędzie bez uzdy i uprzęży. Po chwili za tym białym pocwałował jeździec na drugim koniu karym. Piękny to był koń i pocwałował pewnie aż tam daleko. do lasów sinych, gdzie się widnokrąg obniża. Tam musi być bardzo dobrze. Szukano go po całym domu i mama się gniewała. Potem chciał się wystroić w kurtkę niebieską, czarnemi aksamitkami obszytą, tupał nogami i mama się znów gniewała. Siostry — takie dobre i posłuszne — odsunęły się od niego, nie chciały z nim mówić, Dobrze więc — i on chciał być dobry, bardzo dobry, ale jeżeli tak — będzie zły, strasznie zły, zrobi się bardzo wielki w złem, będzie szczypał siostry, będzie się bił z chłopcami, a gdy dorośnie, zostanie rozbójnikiem. Dumny chodził po całym domu, przeglądał się w zwierciadłach, gładził i pieścił swoje papierki kolorowe. Wreszcie pozwolono mu iść na podwórze. Doktorówny były już w starej szopie od magli. Pod pułapem pękaty pająk czyhał na środku pajęczyny. Wałki leżały na stołach, lśniące, wilgotne, podobne do kości słoniowej. Przez okienko zaglądał wielki żółty słonecznik. Obie doktorówny „zielona“, „niebieska“ siedziały na ławce z lalkami w ręku. Kilka godzin zeszło na zabawie. Jaskółka wpadła do szopy, omal jej nie złapano, ale uciekła i ulatując — zaświergotała radośnie. Wtedy obie doktorówny „zielona“ i „niebieska, pobiegły do ciotki, opowiedzieć, co się stało i już nie wyszły. Widocznie, zasadzono je do słówek francuskich.

Zato ich ciotka ukazała się na ganku do frontu, w kapeluszu zawiązanym pod brodę na wstążki żółte, z nosem spiczastym i czerwoną parasolką. Gdy się jej ukłonił, zdaje się, że mruknęła: „hm“... Znaczy to pewnie: „oho, Julek znów przed bramą“... Nad wieczorem niebo się zachmurzyło: buchało od niego jak z pieca. Chmury się przewalały z boku na bok, piętrzyły, chwiały okrągłemi głowicami, „ryczały“. Wchodząc wieczorem do domu, czuł głuchy niepokój. Myślał o wielkiej gałęzi którą piorun odrywał i która leżała dotąd na podwórzu. W domu wszyscy byli spokojni. Nie mógł przecie mówić, czego się boi niech o tem nikt nie wie. Poszedł do kuchni sprawdzić, czy kucharka się boi. Ale ona ani myślała się bać. Wyciągała z papieru żabę i puściła ją na ogromny stół o skrzyżowanych nogach. I żaba skakała, biała żaba skakała przez całą długość stołu, aż w końcu: chlap! spadła na podłogę! A kucharka śmiała się: ha! ha! ha! Znów lęk go przejął: ta biała żaba naprawdę skacze i w dodatku przewraca oczyma! Klęknął do pacierza. Błagał Boga, aby ominęło go piekło i czyściec. Gdy zgasił świecę ujrzał na chwilę skałę, stromą, dymiącą się, rozpaloną. Pod skałą stał djabeł czarny na twarzy, z jednem okiem pośrodku czoła. Wywiesił wielki siny jęzor i czekał.

Po chwili—znikł. Gwiazda na tle różowem sprowadziła na Julka sen cichy.

NESTLE

Mączka mleczna jest najodpowiedniejszym pokarmem dla niemowląt oraz dla osób dorosłych chorych na żołądek i rekonwalescentów.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“. Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Glisczyńska.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Śliźzkiego i W. Maliszkiewicza, Nowogrodzka 17.